Książki dla wszystkich.

Cena 15 kop. Cena 15 kop



PRZYCZYNEK
DO ŻYCIORYSU
ADAMA ASNYKA

napisał

M. Offmański



Wydawnictwo **M. ARCTA** w Warszawie

w Galicji 40 hal.

KSIĄŻKI DLA WSZYSTKICH, Nr. 17

231063

PRZYCZYNEK DO ŻYCIORYSU

ADAMA ASNYKA

napisał

Mieczysław Offmański Of



WARSZAWA
NAKŁADEM i DRUKIEM M. ARCTA

1904

Дозволено Цензурою.
Варшава, 9 Мая 1903 года.

I.

Adam Asnyk, na chrzcie „Prot Adam,” urodził się dnia 11 września 1838 roku w Kaliszu, z rodziców Kazimierza i Konstancyi z Zagórowskich. Ówczesnym zwyczajem na pierwsze imię otrzymał imię patrona, w którego dniu ujrzał światło dzienne.

Ojciec poety, były wojskowy, pociągał swą prostotą i otwartością. Pod surową na pozór postacią ukrywał dobroć, a powagą i prawością zjednywał szacunek wszystkich. Matka, wołynianka z rodu, otaczała dziecię najczulszą tkliwością, urabiając wraz z ojcem umysłowość i charakter dziecka. Sam poeta nazywał ją „pięknym a rzadkim typem dawnej niewiasty polskiej, poświęconej tylko wyłącznie cichemu domowemu życiu i swoim obowiązkom.”

Stosunek czułości, zadzierzgnięty w dzieciństwie, przechował poeta przez całe życie. Echa tego uczucia odzywają się od czasu do czasu w jego poezyach, „Echo kołyski," „Pod stopy Krzyża," a pierwszy tom jego poezyi, rodzicom poświęcony, nawet w ponownem wydaniu pozostał z tą dedykacyą, chociaż matka poety już nie żyła.

Gdym jeszcze dzieckiem był,
Budzącem się na świat,
Gdy wątły życia kwiat
Jeszcze się w pączku krył,
Na łono matka mnie brała,
Pieściła i całowała,
Gdym jeszcze dzieckiem był.

Pamiętam po dziś dzień,
Jak kojąc płacz i gniew,
Nuciła smętny śpiew,
Co falą słodkich brzmień
Dobywał uśmiech nanowo —
I każde piosnki słowo
Pamiętam po dziś dzień.

„Dziecino, nie płacz! nie!
Rozjaśnij twoją twarz;

Dopóki matkę masz,
Nie może ci być źle;
Na mojem oprzej się łonie:
Ja cię przed bólem zasłonię,
Dziecino, nie płacz, nie!

„Chowaj na później łzy!
Dziś jeszcze anioł stróż
Girlandą białych róż
Okala twoje sny;
Na tkance marzeń pajęczej
Maluje kolory tęczy —
Chowaj na później łzy!

. . . .

„Bo przyjdzie inny dzień,
W którym, o synu mój!
Napotkasz tylko znój,
Zamiast rozkoszy tchnień;
Zdrada ci oczy otworzy,
Nieufność ducha zuboży —
Bo przyjdzie inny dzień.

. . . .

. . . .

„Na taki życia zmrok,
Rozbicia straszną noc

Zachowaj ducha moc
I jasny dziecka wzrok.
Niech ci wspomnienie kołyski
Przyniesie matki uściski —
Na taki życia zmrok!

„Pomimo gorzkich prób,
Zawsze, ach! dobrym bądź,
Z miłością drugich sądź
I patrz z nadzieją w grób.
Nie zatrać dziecinnej wiary,
Nie żałuj swojej ofiary
Pomimo gorzkich prób.

. . . .

„Na matkę wspomnij swą,
Na miłość, co bez plam;
Zwątpieniu zadaj kłam
I obmyj duszę łzą;
Wierz w piękność ducha słoneczną,
I w miłość, która jest wieczną,—
Na matkę wspomnij swą."

Dom, w którym poeta się urodził, istnieje jeszcze do dnia dzisiejszego w Kaliszu przy ulicy Warszawskiej pod Nr. 60.

Mały Adaś w 1849 roku wstąpił do miejscowej szkoły realnej. Wówczas już począł składać rymy.

Szkołę kaliską ukończył poeta w 18 roku życia, a że w kraju podówczas wyższych zakładów nie było, rodzice, bojąc się puszczać słabowitego syna za granicę, postanowili kształcić go na ziemianina. W tym celu wstąpił Asnyk w 1856 r. do Marymontu; przebywszy jednak pół roku, przekonał się, że fachowa wiedza agronomiczna nie odpowiada jego usposobieniu i pragnieniom przyszłości. Schorzały i rozstrojony, powrócił napowrót w progi rodzicielskie.

Do miasta rodzinnego Asnyk szczerze był przywiązany, a dzieciństwo, zostawiając miłe wspomnienia, wiązało go z miejscem pobytu i z otoczeniem, śród którego wzrastał.

W wierszu, zatytułowanym „Rodzinnemu miastu," między innemi strofami mówi:

Droga mnie wiedzie do starego grodu,
Otoczonego ramionami Prosny...

Tam, wśród alei kasztanowych chłodu,
Czerpałem tchnienie pierwszej życia wiosny,
Co w cudowności szatę się obleka,
Jak sen zstępuje i jak sen ucieka.

Dziś wywołane pamięcią promienie
Złocą mi pasma zielonych wybrzeży,
I znów anielskie śle mi pozdrowienie,
Jak niegdyś rankiem, dzwonek farnej wieży,
I całe miasto w oczach się powiększa
Przez mgłę tęsknoty, co wszystko upiększa.

. . . .

Z czasem powoli wszystko się zaciera,
A więc i moje zatarły się ślady...
Stary park na mnie z zdziwieniem spoziera,
Pytając: „Co to za przechodzień blady?"
I nawet mury wahają się szkolne
Rozpoznać we mnie swe dziecko swawolne!

Chociaż przechodzę około okienka,
Pod które dawniej zbliżałem się z drżeniem,
Już w niem nie siedzi figlarna panienka,
Co była pierwszej miłości marzeniem,
I tylko gzemsy opuszczone sterczą
I patrzą na mnie dziwnie i szyderczo.

. . . .

W domu poeta niedługo przebywał. Z otwarciem w Warszawie Akademii medyko-chirurgicznej w 1857 r. młodzieniec zapisał się w poczet słuchaczów, nie tyle z istotnego powołania, ile raczej dla zakosztowania życia uniwersyteckiego. Po zwykłej studenckiej miłości, której wspomnienia znajdują się w wierszu, poświęconym rodzinnemu miastu, przeszedł poważniejszą, która nigdy nie miała zrealizować się w małżeństwie, ale zrealizowała się później w poezyi: obdarzyła ją formą uczuć prawdziwych a pięknych *).

Akademik, trzymając w ręku lancet, miał już tekę wypełnioną wierszami. Skromny, cichy, nigdy o sobie nie mówiący, ukrywał się, jakby ze zbrodnią, ze swojemi poezyami. Był jednak odrazu jednym z najwybitniejszych młodzieńców tego koła, którego nie zakreślił promień pospolitości, użycia lub karyerowiczowstwa. Z wrodzonych zdol-

---

*) Słowo wstępne do pięciotomowego wydania poezyi Adama Asnyka (Warszawa, 1898), przez Stanisława Krzemińskiego. Z tegoż źródła czerpię dane do życiorysu poety.

ności i nabytej przez oczytanie się wiedzy górował ponad wieloma i licznych kolegów gromadził koło siebie. Doskonały idealista, nie widział rzeczy, widział tylko pojęcia, a raczej rzeczy dostrzegał poprzez idee oderwane.

Przyszły liryk w rozmowach okazywał wielkie zamiłowanie starożytności, a ciążenie ku mistycyzmowi wcześnie w umysłowości jego wystąpiło.

W lecie 1859 roku przerwał studya w Warszawie i przeniósł się na medycynę do Wrocławia. Po zapisaniu się na uniwersytet, wakacye w lipcu i sierpniu spędził w Busku, a pod koniec pobytu zrobił wycieczkę do Ojcowa. Krajobraz Pieskowej Skały w czarującem oświetleniu księżyca i widok Krakowa o zachodzie słońca sprawiły na nim silne wrażenie.

Na jesieni pojechał do Wrocławia, gdzie przebył zaledwie jeden rok szkolny. Podczas wakacyi 1860 r. zawitał znów do Warszawy, dokąd przenieśli się rodzice jego, zamieszkawszy przy dolnej ulicy Smolnej (gdzie później mieściła się szkoła weterynaryjna).

Jesienią w 1860 r. wyjechał na Zachód, tym razem do Paryża, rozczarował się nim przecież i po półrocznym pobycie, zrobiwszy wycieczkę do Londynu, z wiosną roku następnego zawitał do Heidelberga. Tutaj, zaniechawszy dawnych studyów, oddał się historyi i filozofii, słuchał nadto nauk państwowych i uczęszczał na wykłady estetyki.

Śród częstych wycieczek do Paryża i Warszawy, gdzie bawił w 1862 roku, a wyjechał ostatnio we wrześniu roku następnego, do Holandyi, Niemiec i Neapolu (w 1864 r.), rozbudzał energię swą i wrażeniami wypełniał duszę.

Z Neapolu nadesłał pierwsze swe liryki do „Dziennika Literackiego.” Po zwiedzeniu Szwajcaryi w 1865 roku powrócił do Heidelberga, skąd po skończeniu uniwersytetu przeniósł się na stałe do Galicyi. Od 1867—1870 roku przemieszkiwał we Lwowie. W lecie 1870 r. poeta był już razem z rodzicami w Krakowie. Zamieszkał tu w domku, kupionym na własność, w pobliżu Rudawy, przy ulicy Łobzowskiej

pod Nr. 99, następnie oznaczonym Nr. 7. Tam osiadłszy, przeżył wszystko dobre i złe, które go spotykało.

Miłość w życiu człowieka ważną odgrywa rolę, ma wpływ na usposobienie, a u pisarza i artysty odbija się w nastroju jego talentu. Co więcej, wielu sławnych pisarzy rozwój i kierunek swojego talentu, jego głębokość lub pogodę zawdzięczają wpływom i usposobieniu towarzyszki życia. Asnyk, jako poeta, obdarzony nadzwyczaj subtelnemi uczuciami serca, kochał się, będąc uczniem, kochał, będąc studentem i wreszcie jako człowiek dojrzały.

Aczkolwiek dzieje miłości wpływają na twórczość autorską, sama ona przez się należy jednak do życia prywatnego. Bez analizowania tych chwil i uczuć, które w pamięci niejednego ze znajomych i przyjaciół poety są zapisane, zwrócę jednak uwagę na to, co ogłosiła p. Zofia Sokołowska w „Biesiadzie Literackiej z 1902 r. p. t. „Pierwsza miłość Asnyka.” Szczegóły, zawarte w tym artykule, zawdzięcza autorka pani S. z domu Waleryi N., która miała

być pierwszą miłością poety. Według tych informacyi, Asnyk miał lat 14, kiedy Kupido wymierzył strzałę i zapalił w jego sercu płomień miłości. Panna N. miała naówczas lat 16 i grała rolę dorosłej panny. Poznanie obojga nastąpiło na święta Wielkanocne we wsi Kalinowej, należącej naówczas do państwa Szrubarskich. Wrażenia z tego pobytu na wsi odnajduje p. S. w poezyach: „Ciche wzgórze,” oraz „Powrót do domu.”

Co do pierwszego wiersza, autorka jest w błędzie, powstał on przed 41 laty, pod wrażeniami zupełnie odmiennej natury. Autorka utrzymuje, że Asnyk pisywał wówczas wiele poezyi i pierwociny swego talentu składał u stóp p. Waleryi. Z tej epoki pochodzi niedrukowany nigdzie wiersz „Śmierć słowika,” przytoczony w „Biesiadzie.”

„Ona domyślała się tej miłości, pełnej czci i uwielbienia, lubiła go jak brata, ale nie zachęcała wcale, owszem, przy każdej sposobności oblewała go zimną wodą.”

Dzieje swego serca opisuje Asnyk

w „Legendzie pierwszej miłości,” a artykuł p. S. ma być poniekąd komentarzem do tego wiersza. Wreszcie ojciec panny N. sprzeciwił się projektowanemu małżeństwu, utrzymując, że Asnyk jest za młody dla córki. Kończąc wspomnienia, autorka słusznie mówi, że Asnyk w ciągu swego życia nieraz jeszcze doświadczył rozkoszy i udręczeń miłosnych, dowodem między innemi wiersz: „Ja ciebie kocham,” w którym się pyta:

Miałażby wrócić wiosna nowa?

. . . .

I znowu pragnę, kocham, wierzę.

Jednym z tych ideałów była panna Aniela G.

Jeszcze jedna wiadomość podana przez panią S. nie zdaje mi się wiarogodną, jakoby Asnyk od dzieciństwa niezwykłe objawiający zdolności, mając półtora roku, uczył się już liter na afiszach, czołgając się po ziemi i że wpierw zanim umiał chodzić znał już cały alfabet. Tego to już za dużo nawet na cudowne dziecko!!

Posłuchajmy jednak, co o miłości swojej mówi sam poeta i jak ona przedstawia się w jego poezyi.

Często poeta na struny swej lutni rzucił jakiś akord osobistych wspomnień, żalu, bólu, nieziszczonych nadziei lub pragnień; czasem odezwał się sarkazmem, porównywał szczerość uczucia, piękno wzruszeń z płytkością sądów i wyrachowaniem ludzkiem. Z tych drgnień serca możemy wnioskować, że w miłości szczęśliwym nie był.

Pytanie dlaczego? Czy brakowało mu rozumu? serca? subtelności uczuć? Czy może rysy twarzy, zewnętrzna postać poety nie budziły sympatyi?

Nie, żadnego z tych braków nawet najbardziej wymagający odnaleźć nie mogli. A więc dlaczego?

Bo nie miał m a m o n y. Być poetą, literatem i to jeszcze przed 40 laty, znaczyło nie mieć żadnego fachu w ręku, a co za tem idzie, nie mieć prawdopodobieństwa dorobienia się. Kobiety z towarzystwa przytem bardzo wrażliwe były i są na tytuły (pani prezesowa, doktorowa, mecenasowa, sekre-

tarzowa, dyrektorowa i t. d.) i na nazwisko rodowe. Tych trzech klejnocików: brzęku, dźwięku i formy, Asnyk nie posiadał i oto dlaczego w miłości nie szczęściło mu się.

Gdym ją ujrzał, myślałem, że ona
Przyjdzie do mnie, z anielskiem spojrzeniem
Zwróci twarz
I wyciągnie ku mnie swe ramiona,
Mówiąc: „Jestem twojem przeznaczeniem;
Wszak mnie znasz?"
I myślałem, że przed nią uklęknę
I zawołam w nadziemskiej ekstazy
Słodkim śnie:
„Jesteś wszystkiem, co dobre i piękne!
Ja cię kocham nad wszystkie wyrazy:
Kochaj mnie!"
Lecz złudzenie moje krótko trwało:
Poszła dalej—zimno, obojętnie—
Próżnom drżał!
Nie widziała, co się ze mną działo,
Nie przeczuła, żebym dla niej chętnie
Życie dał.

Gdyby kto chciał wniknąć w miłość Asnyka na podstawie jego poezyj, musiałby najpierw zwrócić uwagę na wiersz,

zatytułowany przez poetę: „Legenda pierwszej miłości.” Zbyt obszerny, abym go przytaczał w całości.

Ja ją kochałem—tak mi się zdaje—
Bo cudną była w szesnastej wiośnie;
Umiała patrzeć na mnie miłośnie
I rwać mi serce w nadziemskie kraje:
A więc w jej oczach, pełnych tęsknoty,
Tonąłem wzrokiem i tak na jawie
Śniłem o różach, które ciekawie ,
Ponad jej włosów wybiegły sploty,—
Tak, że je zrywać ustami chciałem,
I byłbym przysiągł, że ją kochałem!

Raz, ach! powziąłem myśl dosyć śmiałą,
Ukraść jej z album karteczkę białą
I na niej wszystko wypisać szczerze,
Co mnie ochota powiedzieć bierze:
A więc ubrałem w urocze farby
Całą jej postać czystą, powiewną,
I wysypałem końcówek skarby,
By miłość moją uczynić śpiewną—
Słowem, jak młody poeta liryk,
Wpisałem wierszem jej panegiryk.

Gdy to odkryła, chciałem uciekać;
Ale przemogła trwogę ciekawość,—
I już wolałem przy niej zaczekać,
Śledząc na twarzy wrażeń jaskrawość.
Ona czytała uważnie, zwolna,
Głębokich wzruszeń ukryć niezdolna,
A gdy zdumienie minęło pierwsze,
Rzekła: „Pan także pisuje wiersze?
Szkoda, że kartkę odjąć wypadnie,
Bo pan tak pisze krzywo, nieładnie!"

. . . .

Epilog tej całej afery sercowej streszcza poeta w ostatnich czterech wierszach:

I byłbym rzucił wszystko—gdy trzeba,
I poszedł za nią prosto do nieba,
I byłbym poszedł za nią do piekła...
Gdyby nie była... z drugim uciekła.

Nie zawsze jednak poeta bolał nad tem, że ogień miłości nie połączył go na wieki z sercem, dla którego zapałał uczuciem. Gdy osobę poznawał lepiej, często opadały listki złudzeń i przed oczami poety stawała istota bardzo prozaiczna, dla której pozostały tylko słowa wyrozumiałości.

Ty, lube dziewczę, masz duszę tkliwą,
Co się pięknością wszelką zachwyca;
Jednak ci radzę: chcesz być szczęśliwą,
To za mąż idź za szlachcica!

Poetycznego nie bierz kochanka!
Poezya w życiu—to ból i troski;
Ty przedewszystkiem jesteś szlachcianka:
Trzeba ci z mężem i wioski.

Bardzo rozsądnie robi twa matka,
Łamiąc kaprysik twój idealny:
Miłość — to jakaś ciemna zagadka;
Majątek — ten jest widzialny!

Przeminie wiosna rozkosznych wrażeń
I sny przeminą, któremi żyjesz,
I śmiać się będziesz z dziecinnych marzeń,
Skoro troszeczkę utyjesz.

I będziesz wdzięczną swej matce potem,
Na bal w poczwórnej jadąc karecie,
Żeś zaślubiła worek ze złotem,
Dawszy odkosza poecie.

Z czasem, dzięki zabiegom ojca poety, stan jego majątkowy polepszył się,

a i sam poeta wzrastał w szacunek i poważanie.

Głęboka nastrojowość, przepyszna melodyjność wiersza, idealna sfera pragnień, wszystko to składało się na wyróżnienie człowieka i poety. Zasłynął jako liryk, a co do formy i śpiewności wiersza należy mu się berło pierwszeństwa.

Czego serca odczuć nie umiały, temu uszy musiały uwierzyć! Ogólny głos uwielbienia sprawił, że liczne rzesze niewiast wyciągały do poety ręce i serca, który jednak teraz będąc nadzwyczaj uprzejmym, bardziej krytycznie na ród niewieści się zapatrywał.

Lecz dziś komedyę salonu,
Jak człowiek dobrego tonu,
Nawylot znam.
Z serca pożytek niewielki:
Więc mam w zapasie karmelki
Dla dam.

Do tej fazy krytycyzmu poety zaliczyć należy wiersz „Nawrócenie.”

Gdy miała szesnaście latek,
Była, ach! bardzo sceptyczną:

Nie chciała wierzyć, gdym mówił,
Że jest prześliczną!
Wątpiła o swej urodzie,
W uczucie wierzyć nie chciała;
Kiedym jej miłość wyznawał,
Tylko się śmiała!
Lecz dzisiaj, po latach wielu,
Wiara w jej serce wstąpiła—
I nawrócona zupełnie,
Żałuje, że wprzód wątpiła...
Ufna w potęgę miłości,
Wspomnienia pragnie odświeżyć,
Wierzy, że jeszcze ją kocham;
Lecz ja—przestałem już wierzyć...

W listopadzie 1871 r. utracił Asnyk matkę. Śmierć drogiej istoty, dla której zawsze zachował dziecięce niemal uczucie, głęboko odczuł. Ojciec poety, nie mogąc przywyknąć do Krakowa, po śmierci żony powrócił do Warszawy, gdzie miał i blizkich i dobrych znajomych. Zmarł w Warszawie w 1885 r.

Osiadłszy na stałe w Krakowie, Asnyk dość często na pewien czas opuszczał mury starodawnego grodu. Część lata i jesień 1872 r. spędził we Włoszech,

w Rzymie, w Kampanii i pod Apeninami. Rzym pobudził go do udramatyzowania przygód „trybuna ludu.” W latach 1873 do 1875 i następnych wyjeżdżał poeta na wypoczynek letni w Tatry. Owocem tych wycieczek i wrażeń jest cykl poemacików, zatytułowany „W Tatrach,” ofiarowany Mieczysławostwu Pawlikowskim, na pamiątkę chwil wspólnie spędzonych w Zakopanem.

W Tatrach, poznawszy p. Zofię Kaczorowską, córkę wziętego lekarza poznańskiego, wybrał ją z pomiędzy innych i na jesieni w 1875 r. poślubił. Pożycie ich było krótkie — w rok niespełna, wydawszy na świat syna, żona zmarła. Z jej śmiercią zabrakło łącznika prawdziwego między najbliższą rodziną żony a poetą, a że malec wychowywał się u dziadków, stąd i system wychowania nie zawsze po myśli jego był przeprowadzony i uczucia ojcowskie często na gorzkie próby wystawione były. Włodzio Asnyk dopiero jako młodzieniec kilkunastoletni wrócił do domu i pod opiekę ojcowską do Krakowa.

Poeta zdaje się tak niewiele żądał:

Jednego serca! tak mało, tak mało!
Jednego serca trzeba mi na ziemi!
Coby przy mojem miłością zadrżało:
A byłbym cichym pomiędzy cichemi.

A jednak tego nie zaznał. W swojem j a i boleściach osobistych nie stopniał. Z lat dziecinnych zahartowany do przeciwieństwa losu, na duchu nie upadł, ale siebie i innych dźwigał.

Od 1872 r. do 1877 napisał cztery utwory dramatyczne i kilka rozpraw; następnie ukazał się cykl filozoficznych sonetów „Nad głębiami.“

Od 1881 r. począł Asnyk brać udział w życiu publicznem Galicyi, jako współzałożyciel nowego dziennika w Krakowie, radca miejski, redaktor, poseł na sejm krajowy, prezes Towarzystwa „Szkoły ludowej“ i t. d.

Do pracy obywatelskiej zawsze się zapalał, stał zawsze na stanowisku dobra publicznego, zapominając o własnych osobistych wygodach i interesach. Godził filozofię życia z ideałami, opartemi na silnych podstawach.

Daremne żale, próżny trud,

. . . .

Bezsilne złorzeczenia!
Przeżytych kształtów żaden cud
Nie wróci do istnienia.

. . . .

Trzeba z żywymi naprzód iść,
Po życie sięgać nowe:
A nie w uwiędłych laurów liść
Z uporem stroić głowę!

Wy nie cofniecie życia fal!
Nic skargi nie pomogą!
Bezsilne gniewy, próżny żal!
Świat pójdzie swoją drogą.

Był więc romantykiem, ale z tych wyrozumiałych, którzy umieją godzić przeszłość z teraźniejszością, zasadnicze pojęcia z interesami chwili, tradycyę i postęp.

Każda epoka ma swe własne cele
I zapomina o wczorajszych snach:
Nieście więc wiedzy pochodnię na czele
I nowy udział bierzcie w wieków dziele,—

. . . .

Ze światem, który w ciemność już zachodzi
Wraz z całą tęczą idealną snów,
Prawdziwa mądrość niechaj was pogodzi—
I wasze gwiazdy, o zdobywcy młodzi,
W ciemnościach pogasną znów!
(„Do młodych").

Puścizna literacka Asnyka zamknęła się w pięciu tomach prac jego. Trzy pierwsze obejmują poezye, dwa następne dramaty. Rozprawy i artykuły publicystyczne czekają na kogoś, coby je zgromadził, przebrał i wydał.

II.

Po raz pierwszy widziałem Asnyka przelotnie w przejeździe przez Kraków w 1886 r. Zajmował wówczas prawą stronę własnego domku przy ulicy Łobzowskiej l. 7, lewą odstępując najbliższemu przyjacielowi, Sewerowi (pseudonim Ignacego Maciejowskiego), chwilowo bawiącemu w grodzie podwawelskim.

Zamieszkawszy w Krakowie w 1891

roku, miałem szczęście zbliżyć się do poety, widywać go częściej, a gdy ostatnia choroba powaliła go na łoże, stałem się codziennym gościem, niemal domownikiem. Stosunek nasz czerpał swój wątek z przyjaźni, jaka łączyła od lat dawnych poetę z wujem moim, Stanisławem Krzemińskim i utrwalony został spólną kilkoletnią pracą w zarządzie głównym Towarzystwa „Szkoły ludowej," którego zmarły do końca życia był prezesem.

Powoli zwiększał się krąg interesów społecznych spólnie nas obchodzących, które pozwalały mi z Asnykiem obcować dłużej i częściej, odczuć jego poglądy, słyszeć słowa, rzucone w przyszłość lub zaczerpnięte ze wspomnień przeszłości. Mówiąc o sprawach bieżących lub o czynnościach, obliczonych na dalszą metę, poeta porywał logicznym związkiem zdań, siłą argumentów, ze spokojem i dobitnie wypowiadanych, a co najważniejsza, zapalał słuchacza wieczną swoją młodością.

Znałem poetę, poznałem i pokochałem człowieka.

Wszystko to sprawiło, że z niepokojem śledziłem przebieg choroby. W czerwcu 1897 r. Asnyk szczęśliwie przebył kryzys tyfusu brzusznego; wieczorem—dnia 19 t. m. zadzwoniłem do jego mieszkania i byłem przyjęty. Zastałem go w łóżku, wychudł i zeszczuplał jeszcze bardziej, tylko wyraziste oczy, wąsy i brwi krzaczaste pozostały bez zmiany, nadając twarzy wygląd ascetyczny.

Powitał mnie uprzejmie, nawet radośnie. Uprzejmie, bo nikomu przykrości by nie wyrządził, zwłaszcza pod swoim dachem, radośnie, bom oświadczył, że przychodzę na noc całą i, jeżeli pozwoli, doglądać go będę codziennie.

Zastałem wówczas u chorego profesora Bujwida i kolegę Gastmana, starsza bowiem młodzież uniwersytecka wzięła na siebie obowiązek dozoru. W czasie długiej rekonwalescencyi liczba czuwających zmalała, tak, że w końcu pozostało nas dwóch, wreszcie i kolega Gastman wyjechał z Krakowa.

W rozmowie, toczonej przy łóżku

chorego, gdy jeden z obecnych wspomniał o córce, która mi przybyła, poeta z serdecznością wyciągnął ku mnie rękę, winszował pierworodnej i rozmowa toczyła się koło małej Wandzi.

Pozostałem tego dnia na noc. Chory zasnął, lampka olejna, umieszczona na ziemi, rzucała słabe blaski na pokój.

Zdając sobie sprawę, jak ważną rzeczą w tego rodzaju wspomnieniach jest ścisłość i jak nawet drobiazg może być pożądanym przyczynkiem dla późniejszych biografów poety, zapisuję to, na co patrzałem i co bezpośrednio słyszałem z ust jego lub otoczenia.

Mieszkanie, przed chorobą skromne ale czyste, nosiło na sobie cechy zapuszczenia. W pokoju chorego obicie odarte i odklejone przez wilgoć (Rudawa przepływała na terytoryum podwórza), podłoga myta, ale bardzo dawno, w oknach kwiaty. Na każdym kroku odczuwało się brak troskliwej ręki kobiecej. W pokojach nieład, zwiększony przez nagromadzenie rzeczy narazie potrzebnych i nie sprzątniętych. Pełno książek, porozrzucanych

na biurku, krzesłach i oknie, stosy ich na ziemi i przy łóżku. Na małym stoliczku, który stał przy poduszkach: zegarek, świeca, drobiazki, pugilaresy i rozrzucone pieniądze drobne, oraz spodek z gąbką, umoczoną w rozcieńczonej wodzie kolońskiej, którą chory co chwila zraszał sobie wąsy, skronie i oczy. Tytoń podczas choroby zarzucił zupełnie, chociaż przedtem namiętnie palił. Ozdobne adresy i albumy, dedykowane poecie z powodu niedawno obchodzonego jego jubileuszu, były rozrzucone wszędzie po krzesłach i na stołach. Na boku garnuszek z kawą i mlekiem oraz filiżanka, z której chory popijał zimną kawę i mleko, wreszcie talerz z owocami.

Kiedy niekiedy budził się z zapytaniem: która godzina? Było to stałe pytanie po przebudzeniu się, nawet wówczas, kiedy zasypiał na kilka minut. Obliczał, ile godzin pozostaje nocy, kiedy dnieć zaczyna. O 4-ej rano kazał zbudzić starą Wawrzyńcową, służącą, która ze swoim mężem, a bodaj nawet córką i wnuczką, mieszkała

w domku poety i zajmowała się gospodarstwem. Przedtem jednak wyliczył, że spała od godziny 9-ej, a więc siedm godzin, a gdy się ukazała, kazał babinie podać ciepłe fajerki; wcześniej nie chciał czynić ambarasu.

Uderzającą cechą Asnyka była jego delikatność; nawet będąc chorym pamiętał, żeby nie być komuś ciężarem, żeby nie sprawić sobą subjekcyi. Często też zdarzało się, że najskromniejszego życzenia nie było komu spełnić, a nieraz, nie mogąc się nikogo dowołać, rzucał w ścianę, dzielącą pokój od kuchni, kijem, przedmiotami blizko znajdującemi się np. guldenami srebrnemi.

Z początkiem choroby, panie: Maciejowska, Pareńska i inne czuwały nad chorym, otaczając go niewieścią pieczołowitością. Znajomi i wszyscy, którzy interesowali się chorobą poety, dowiadując się o jego zdrowie, zachodzili często do pokoju, w którym leżał. Rozmawiano o sztuce, literaturze, sprawach bieżących, co chorego często rozrywało, częściej jednak nużyło. Natura tak wy-

soce subtelna, jak Asnyka, musiała się do pewnego stopnia krępować obecnością pań, chociaż był z niemi w długoletniej zażyłości. Wiem również, że syn poety, p. Włodzimierz Asnyk, osobiście nierad był tej opiece damskiej; on też wyraził im życzenie ojca, który dziękował za dotychczasową opiekę i prosił, żeby go nadal pozostawiły samego.

Wobec takiego oświadczenia, panie cofnęły się i od tego czasu z oddala tylko interesowały się przebiegiem choroby, nadsyłały zupy posilne, konfitury, bukiety.

Czy usunięcie całkowite opieki pań było stałem życzeniem chorego i czy w takiej formie zostało wypowiedziane, w jakiej sobie życzył chory, tego nie wiem. Od czasu, jak zacząłem stale bywać, Asnyk sprawy tej nie poruszał, raz tylko, gdy przyszedłem i głośno przeczytałem leżący na stoliku bilet wizytowy pani X. X. (nie należała do grona pilnujących), poeta dodał: „ta mnie też wynudziła...”

Pamiętam wizytę siostry miłosierdzia,

Eleonory, która przyszła dowiedzieć się o zdrowie Asnyka.

Chory zdrzemnął się, syn i ja udzieliliśmy jej żądanych informacyj, stojąc w sionce, zastępującej miejsce przedpokoju. Widziałem, że p. Włodzimierz nierad był prowadzić ją do ojca, który rzeczywiście pod wieczór był już zmęczony i co chwila zasypiał. Gdy chory dowiedział się o bytności siostry, powiedział: „była już przyjęta i ze skutkiem;" aluzya do poprzedniej wizyty siostry Eleonory. Przyszła z jakąś młodą, ubogą kuzynką nieboszczki żony Asnyka i miała otrzymać wówczas na ubogich blizko 40 złr., które leżały na stoliku przy chorym.

Bywając codziennie, informowałem Asnyka o sprawach Towarzystwa „Szkoły ludowej," którego był prezesem, a zwłaszcza o czynnościach, poprzedzających położenie kamienia węgielnego pod szkołę polską w Białej, którą poeta szczególnie się interesował. Przeglądałem świeżo nadchodzące pisma i gazety, pomiędzy którėmi było jedno słowackie; one dostarczały nam najczęściej

wątku do rozmów, toczących się około spraw ogólnego znaczenia. O Kazimierzu Badenim, podówczas prezesie ministrów, z powodu wydanych przez niego praw językowych dla Czechów, mówił, że to „dzielny Polak.”

Na trudności, jakie spotykało gimnazyum polskie w Cieszynie tak ze strony Niemców, osiadłych na Śląsku, jako też w ministeryum, odmawiającem upaństwowienia, zapatrywał się optymistycznie, twierdząc, że w tem niema nic złego, „bo się obudzi energia i zapał w społeczeństwie.” Istotnie nietylko Ślązacy, ale Polacy z Galicyi licznemi składkami na gimnazyum i zapisami na stypendya dla uczniów zapewnili egzystencyę instytucyi, która wreszcie wywalczyła sobie należne jej prawa. Rozmawialiśmy o kursach publicznych prof. Łuszczkiewicza *) czyli tak zwanych „Pogadankach o starożytnościach Krakowa.”

Profesor Łuszczkiewicz ogłaszał w pismach, że tego a tego dnia, o danej

---

*) Zmarł w Krakowie d. 25 maja 1900 r.

godzinie, odbędzie się zwiedzenie świątyni lub innego zabytku starożytnego. Praktyczny wykład na miejscu zapoznawał licznie zebranych z wartością architektoniczną i artystyczną pomnika, obrazu, rzeźby i tego wszystkiego, co godne uwagi. Widziałem na twarzach zebranych zainteresowanie się i zrozumienie, to też przywiązywałem wielką wagę do tego rodzaju odczytów i stawiałem je jako najlepszy sposób popularyzowania wiadomości z archeologii miejscowej. Asnyk, podzielając ten pogląd, wyrażał się o Łuszczkiewiczu, jako o znakomitym znawcy archeologii, a porównywując go z Łepkowskim, znacznie wyżej stawiał.

Chory najwięcej interesował się podówczas składkami na pomnik Mickiewicza w Warszawie. Pisma galicyjskie skwapliwie notowały z dnia na dzień wzrastającą sumę składek, a Kazimierz Bartoszewicz obliczył, że Warszawa w przeciągu tygodnia tyle zbierała drobnemi składkami, ile Galicya na swój pomnik w ciągu roku. Z rozrzewnieniem na twarzy słuchał, gdym wspominał, że

na liście składek są robotnicy, służące, stróże, że składki kopiejkowe nie są rzadkością. Śmiał się i cieszył z sądów ludu, jakimby ten pomnik dla wielkiego poety być powinien. Słowem, umysł ten żywo interesował się wszystkiem, zapalał do czynu i pragnął, jak dawniej, brać udział w tem, co pożyteczne i szlachetne. Pochwalał myśl pomnika i dumny był z tego, jako królewiak, że Warszawa tak energicznie wzięła się do dzieła. Zapytany, czy nie postara się o to, żeby odwiedzić gród syreni, odpowiedział, że miałby wielką ochotę, „wpierw jednak trzeba będzie pojechać do Suchej.” Zamierzał udać się tam, gdy tylko stan rekonwalescencyi pozwoli mu wstać z łóżka.

Sucha, stacya kolei, na drodze do Zakopanego, o kilka godzin drogi od Krakowa odległa, położona w miejscowości górzystej i lesistej, otoczona wieńcem Beskidów z Babią górą w blizkości, odznacza się klimatem łagodnym i zdrowym.

Gdy wspomniałem, że wydawnictwo

„Słowa Polskiego" we Lwowie, na którego czele stał Romanowicz, ogłasza, iż wychodzić będzie dwa razy dziennie (nowość na gruncie galicyjskim), i że oznaczyło stosunkowo bardzo nizką cenę prenumeraty, Asnyk kilkakrotnie przypominał, żeby zaprenumerować ten dziennik dla niego. Miał tyle pism, że braku informacyj wszelkiego rodzaju nie odczuwał, ale cieszył go rozwój dziennikarstwa w Galicyi i pragnął powodzenia dla organu, który spoczywał w rękach ludzi, pracujących pod hasłem „dobro ogółu": Stanisława Szczepanowskiego i Tadeusza Romanowicza. Pragnąć czegoś, a nie przyłożyć do tego ręki, Asnyk nie umiał! Pismo wprawdzie przychodziło, ale nie było nawet czytane. „Nowa Reforma" i „Kuryer Codzienny" informowały chorego o wszystkiem, co się działo w Galicyi i Królestwie, z miesięczników i tygodników warszawskich zaledwie można było przejrzeć spis przedmiotów i drobniejsze artykuły. Sam chory czytać nie mógł, osłabienie i stan wzroku nie pozwalały mu na to.

Mówiąc lub odpowiadając na zadane pytania, lubił używać przenośni, w rozmowach podchwytywał wyrażenia, nadając im dwuznaczne a głębokie znaczenie. Dość było wziąć rozpylacz dla odświeżenia powietrza, żeby chory dodał: „Rozdmuchaj pan — jesteś pan w swoim żywiole,” to znów na prostą wzmiankę, że włościanie w podchmielonym stanie wracają do domu, odpowiadał: „Dobrze, że chociaż do domu.” Z wrodzoną delikatnością łączył zawsze chęć wywzajemnienia się za doznane objawy grzeczności. Obmyślił podarki dla profesorów Pareńskiego i Bujwida, którzy go leczyli: kazał oprawić bogato, w skórę, komplet swoich poezyj, opatrzył kilku słowami dedykacyi, pismem niezgrabnem i niepodobnem do dawnego, i wręczył obdarowanym. Myślał jeszcze o ładnej, złotej broszce dla pewnej pani, Niemki z pochodzenia, która zaopatrywała jego śpiżarnię w konfitury — mówił: „Trzeba jej koniecznie co dać, żeby nie myślała, że Polacy są niewdzięczni.” Zamówiony jubiler, który miał

przedstawić poecie rysunek broszki, nie przychodził, później zaś udało się chorego namówić, że gdy będzie zdrów, to sam wybierze coś odpowiedniego.

Z początkiem wakacyj, to jest po 15-tym lipca, mając więcej czasu, codziennie widywałem chorego, albo przed południem do godziny dwunastej, lub po trzeciej, t. j. po urzędowych godzinach „Towarzystwa Szkoły ludowej.” Ale wyczerpany organizm widocznie słabnął, a upały przyczyniały się do znużenia. Nawet trzeźwość umysłu chwilami opuszczała chorego, majaczył i poddawał się halucynacyom, gdy te minęły — powracała pamięć, pogląd oryginalny, bystrość oryentowania się, jak dawniej. Sobą i swemi dolegliwościami Asnyk się nie zajmował, na pamięci miał zawsze sprawy publiczne. Zapytany, jak się czuje, odpowiadał:

— A no, trzymaj się, nie daj się!

Było jednak widoczne, że się poddawał, chociaż przytomność i jędrność umysłu maskowały zbliżające się całkowite wyczerpanie sił. Lekarstw ża-

dnych już nie przyjmował — był niby rekonwalescentem po tyfusie brzusznym. Wycieńczony, powinien był się odżywiać, apetytu jednak nie miał żadnego, ani na wino, ani na jadło. Stan podgorączkowy wzbudzał tylko pragnienie, pił dużo i często. Aby chociaż w tej formie zasilić organizm, udało się profesorowi Bujwidowi namówić chorego na mleko sterylizowane, które przesyłał z własnej pracowni. Mleko i kawa czarna, osobno lub w połączeniu, to był jedyny posiłek, którym żył do śmierci. Kuracyę prowadził prof. dr. Pareński, do którego chory miał zaufanie i z którym łączyła go przyjaźń. Cóż z tego, kiedy choroba piersiowa, korzystając z ogólnego wycieńczenia, nurtować poczęła. Gdy choremu proponowałem kefir, mówił, że nie lubi go, a gdy radziłem mleko z koniakiem, odpowiedział:

— Żebyście też panowie nie wpadali już na żadne kombinacye!

Widać było, jak z dnia na dzień nietylko podkład tłuszczowy, który dawno się wyczerpał, ale nawet mię-

śnie zanikały, pozostawiając szkielet, powleczony skórą.

Dnia 17 lipca przyszedłem do Asnyka o godzinie 10$^1/_2$ wieczorem, otworzyła mi Julka, młoda służąca, wzięta do pomocy. Dowiedziawszy się, że pozostanę na noc, dziewucha śpiesznie opuściła pokój.

Usłyszałem pytanie: „Kto przyszedł?” Gdym się odezwał, chory rzekł:

— A to dobrze. A na długo?

— Na całą noc.

— Dziękuję panu — brzmiała odpowiedź.

Później pytał się: „Co słychać?” tak, jakbyśmy się dawno nie widzieli. Doczytałem „Nową Reformę,” którą choremu Julka czytać zaczęła, zasłoniwszy blask świecy jakimś dyplomem honorowym.

Te liczne objawy zaszczytów i hołdów składanych poecie, których pełno było w pokoju, dziwnie odbijały od wątłej skorupy cielesnej, odbiegającej coraz dalej od życia i praw jego. Daremnie wstrzymywałem się od rozmowy, chory zasnąć nie mógł. Dopyty-

wał się kilkakrotnie o godzinę, wreszcie rozpoczął rozmowę o synu *), który wyjechał do Warszawy, spełniając żądanie ojca.

Projekt wyjazdu p. Włodzimierza do Królestwa na wakacye był dawno ułożony. Asnyk, mimo choroby, niecierpliwie czekał wypełnienia powziętego zamiaru. Byłem świadkiem, jak nalegał, aby prędko wyrobił sobie pasport, jak go oglądał, wreszcie jak zachęcał syna do poznania Warszawy, do odwiedzenia znajomych, jak zalecał, aby widział się z jego przyjacielem, Stanisławem Krzemińskim, wreszcie z naciskiem prosił, aby koniecznie pojechał i do Wilna.

Chwila tej rozmowy z synem, której byłem świadkiem, zapał i ogień umierającego poety, który o własnej sile dźwignąć się na łóżku nie mógł, pozostanie mi na zawsze w pamięci. Zmęczony, zagrzewał, zachęcał:

---

*) P. Włodzimierz Asnyk był wówczas na pierwszym kursie filozofii uniwersytetu Jagiellońskiego.

— Jedź, to potrzebne dla mojego zdrowia, mnie się będzie zdawało, że ja to wszystko widzę twojemi oczyma, że ja to wszystko słyszę twojemi uszami.

Po za tem miał jeszcze jedno życzenie, żeby syn prowadził dziennik podróży i wrażeń.

— Nie chcę, żebyś pisał dużo, szkicuj tylko to, co cię uderzy, co szczególnie zwróci twoją uwagę.

Syn wyjechał naprzód do Warszawy. Rozmawialiśmy o nim, obliczaliśmy, kiedy stanął w Warszawie. Asnyk zapewniał, że i do Wilna pojedzie. Pragnął widzieć oczyma syna to miasto stare, duchową kolebkę Mickiewicza. Podniecony, spać nie mógł. Dla skrócenia bezsennej nocy opowiadałem o odbytej zbiorowej wycieczce po Królestwie, w której uczestniczyłem. Słuchał z zainteresowaniem, gdy wreszcie z Kieleckiego przez Opatów, Sandomierz popłynąłem Wisłą do N. Aleksandryi, a w Kazimierzu z ruin zamku zstąpiłem do żyda na miód bardzo dobry, poeta spytał:

— Czy rzeczywiście dobry?—a otrzy-

mawszy odpowiedź twierdzącą, dodał żartem: — Poczęstuj mnie pan kieliszkiem tego dobrego miodu.

Mówiliśmy później o starych rzeźbach, które niszczeją w Kazimierzu, o barbarzyńskiem obchodzeniu się z ruinami i pamiątkami dawnemi. Wspomniał, że gdy był młody, „pasyami" lubił wycieczki.

Później omawialiśmy ostatni telegram z „N. Reformy," że rząd Słoweńcom, zamiast żądanego gimnazyum w Cylei, chce założyć szkołę weterynaryjną, na co Asnyk zauważył:

— Chcą Słoweńców przemienić na weterynarzy.

Noc jednak się wlokła! Machinalnie wyciągnąłem rękę ku stosowi książek i jedną z nich ująłem —Asnyk spojrzał, po okładce poznał, że to „Gospodyni." Rzeczywiście, było to XVII-te wydanie dzieła Lucyny Ćwierczakiewiczowej. Rozmowa potoczyła się na temat znanej autorki, przytoczyłem wspomnienia z jej pobytu w Ciechocinku, poeta słuchał, wreszcie dodał: „Bajeczna!"

Oddychał głęboko, wolno, z widocz-

ną pracą. Skronie, oczy, wąsy i usta często zwilżał gąbką. Chwilami zasypiał. Wreszcie budzi się i mówi:

— Tylko jeden człowiek zasługuje na miano energicznego — Kotarski *). On miał z policyą mówić, policya czuwa...

Było to majaczenie, stale powtarzające się na temat kufrów z kasą.

A gdy zapewniałem, że czuwam i na wszystko daję baczenie, odrzekł:

— Tu byli silniejsi i ulegli. Miej się pan na ostrożności!

Bał się... tej niby trucicielki i jej matki. Skierowane to było do jednej ze służących, której tak nie lubił, że później nie mogła mu się na oczy pokazać. Musiało poetę oburzyć jakieś lekceważenie jego żądania. Służba bowiem, nie czując nad sobą władzy i siły brutalnej, dawała czasem dowody lekceważenia, co poetę gniewało. Prawdo-

---

*) Pan Przemysław Kotarski, dyrektor Kasy zaliczkowej w Krakowie, przyjaciel Asnyka, zmarł w 1903 r.

podobnie z tej przyczyny wypłynęła niechęć tak silnie akcentowana.

Gdy rano rozstawałem się z Asnykiem, prosił, żeby mu wyjąć pugilaresy, które powinny być obok na łóżku lub pod poduszką. Znalazłem trzy: jeden czerwony, z wężowej skórki, drugi zwyczajny i trzeci duży, skórzany, to „Grossvater"—rzekł poeta. Kazał położyć je obok przy sobie na stoliku. Prosił, żeby przyjść jeszcze w dzień, to podyktuje mi listy, obiecałem być w południe i załatwić korespondencyę.

Zapowiadał się dzień śliczny. Słońce wstało pogodne. Z kościołów od księży Karmelitów z Piasku i naprzeciw od OO. Zmartwychwstańców dochodził dzwon na „Anioł Pański," dźwięk rozpływał się w powietrzu, zapełniał ciche i uśpione jeszcze miasto. Poeta przyzwyczajony do tego, mile witał ten głos modlitwy porannej.

Zawołałem Julkę i o godz. 5-ej rano wyszedłem.

D. 18 lipca, godzina 1 po południu. Na wstępie dowiedziałem się od służby, że „Włodzio" przyjechał pociągiem

rannym, „pan bardzo niezadowolony z tego.”

Istotnie, Asnyk był bardzo wzburzony.

— Co on mnie tu pomoże? — mówił.—Co on robi?... Obudź go pan...

Za chwilę zaczął majaczyć na zwykły temat:

— Zobacz pan, czy pod łóżkiem niema kufereczka żelaznego?...

Odpowiedziałem, że niema. Poeta zdziwił się, wreszcie dodał:

— No, ale policya czuwa i nazewnątrz nicby wynieść nie dała.

Korespondencyi żadnej nie pisałem, chory nie żądał, był zresztą syn, który, gdy było potrzeba, spełniał funkcye sekretarza.

Że p. Włodzimierz wrócił na trzeci dzień z Warszawy, przyczyną tego był telegram alarmujący. Kto go wysłał, nie wiem. Zresztą dziwić się nie można, że otoczenie chorego, wobec groźnego stanu, nie było rade wyjazdowi p. Włodzimierza. Widząc jednak zapał, z jakim poeta wyprawiał syna do Warszawy i Wilna, żałuję, że

nie mógł tam pojechać, że nie napisał do ojca listu z wrażeniami, że wreszcie i Asnyk nie potrzebował pisać do syna, bo z pewnością jego miał na myśli, gdy zamierzał list mi dyktować. Kilka dni dłużej mógł p. Włodzimierz być w podróży, bano się jednak, żeby katastrofa nie nastąpiła w czasie jego nieobecności. Co do wyzdrowienia chorego stracono już całkowitą nadzieję.

Do stale odwiedzających Asnyka, oprócz profesorów dr. Bujwida i dr. Pareńskiego, wymienić jeszcze muszę prof. Ernesta Bandrowskiego, p. Kotarskiego, członków redakcyi „N. Reformy:” Michała Konopińskiego, Wł. Prokesza i Antoniego Kleczkowskiego. O tych wiem i nieraz ich spotykałem. Mieli swoje uprzywilejowane godziny, w które zaglądali do chorego i spełniali różne jego życzenia.

D. 19 lipca. Chory wydaje się rzeźwiejszym. W rozmowie ani śladu majaczenia. Przeczytałem „Kuryera Codziennego.” Zajął go bardzo artykuł „Milionowe miasteczko,” opiewający, że taki partykularz, jak Pyzdry, po-

siada kapitał, przeszło milion rubli wynoszący...

Upał nieznośny, w pokoju (mimo otwartego lufcika) duszno, z ulicy, słabo zroszonej wodą, kurz dostaje się do mieszkania. Chory podniecony wyciąga rękę i zakłada się ze mną, „że aura się przełamie,” dzisiaj koniec kanikuły. Zakład stanął.

— Ale o co?

— O koronę na budowę szkoły polskiej w Białej.

Tego dnia łóżko z chorym przestawiono inaczej, drugie zapasowe służyło do przełożenia chorego przy prześcielaniu. Musiało jednak być twarde, bo chory zwierzył się z projektem, że da materace do przeskubania, ale dodał zaraz praktyczną uwagę:

— Trzeba, żeby włosie przeskubywano tutaj na miejscu w ogródku.

Myliłby się, ktoby z tego wnosił o prawdziwej praktyczności poety i graniczącem z nią u innych skąpstwie; przeciwnie, Asnyk hojny był bardzo. Widziałem, jak za byle jaką posługę, za

przyniesienie czegośkolwiek żądał, aby wynagradzać obcych służących guldenami.

D. 20 lipca. Zaszedłem o wpół do czwartej po południu. Zastałem pana Kotarskiego; służący jego, Marcin, oganiał muchy z chorego. Czynił to zwykle albo sam chory, albo ktoś z obecnych. Służyła do tego gałązka orzecha włoskiego, rosnącego w podwórzu; poeta bardzo lubił zapach tych liści.

Chory poznał mnie, lecz zapadł w sen chwilowy, oddychając ciężko.

Za chwilę pozostaliśmy sami. Przeczekawszy senność, odczytałem projekt aktu, który miano zamurować w fundamenty szkoły bialskiej, przy położeniu kamienia węgielnego. Akt ten przygotował po polsku i przetłumaczył na język łaciński ks. Tadeusz Chromecki, dziś już nieżyjący († 1901 r.), członek zarządu Towarzystwa „Szkoły ludowej" i rektor księży Pijarów. Asnyk uznał akt za dobry, ponieważ był pisany skromnie a poważnie. Gdy mówiłem,

że każemy ten dokument odbić na pergaminie, zawyrokował:

— To ja podpiszę na pergaminie. Będą dwa podpisy: jeden pod stroną polską, drugi pod łacińską.

Był ożywiony, uczuwał nawet apetyt, skończyło się jednak na próbowaniu wszystkiego. Przy pożegnaniu bardzo serdecznie dziękował za odwiedziny.

D. 21 lipca. Znać, że panie porozjeżdżały się na lato. Dawniej chory miewał obfitość bukietów, od kilku dni nie widać świeżych dowodów pamięci. Teraz mówi mniej, niż dawniej; wpatruje się badawczo swojemi głębokiemi oczyma. Na pytanie, coby zjadł? wyraził życzenie podania mu befsztyku. Tymczasem pił mleko, wreszcie, patrząc na mnie, mówi:

— Ja pana zjem...

Przyniesiono befsztyk.

Apetyt okazał się fałszywym, chory ukrajał kilka kawałków, ale ich nie tknął. Potem, zwracając się do mnie, dodał z przeświadczeniem:

— Wszak jesteśmy na lepszej drodze?

— Tak, — odpowiedziałem — ale rekonwalescencya postępuje bardzo powoli, bo pan się nie chce odżywiać.

Gdy się pomyślało, że ten organizm, wycieńczony długotrwałą chorobą, gwałtownie powinien się odżywiać, a odżywiać się nie mógł, rozpacz ogarniała. A choroba wciąż szła naprzód! Wszyscy powoli oswoili się z myślą, że walka tu daremna, a wizyty lekarskie odbywały się od czasu do czasu tylko dla formy. Z rezygnacyą spoglądano na dopalającą się lampę życia...

W niektórych instytucyach zastanawiano się jeszcze za życia Asnyka, jak się zachować wobec jego śmierci, uznając w nim znakomitego poetę, ale i człowieka o odmiennej barwie politycznej. Trzeźwość i przezorność dyplomatyczna w każdym razie niemiłe sprawiając wrażenie. Omawiano sprawę udziału i reprezentacyi. Traktować o o takich rzeczach, nawet ubocznie, na poufnem zebraniu, jest niewłaściwe, tembardziej, że zawsze wiadomość taka przed czasem wypełznie. Dowiedzia-

łem się o tych rozmowach jeszcze za życia Asnyka, chociaż do instytucyj powyższych nie należałem...

Gdy żegnałem się z chorym, serdeczniej ściskał mi rękę i dziękował za wizytę. Dni następnych stan pozostawał bez zmiany. Ożywienie chorego, pewna dziarskość, którą się od czasu do czasu widziało, były znamieniem stanu gorączkowego, a lubo w czasie tak zwanej rekonwalescencyi, temperatury w ciągu dnia już się nie mierzyło, jednak znać było gorączkę po częstem pragnieniu i po zraszaniu twarzy wodą.

Bukiecik kwiatów, który przyniosłem, poeta kazał postawić przy sobie, rozkoszował się przyjemnym zapachem groszków ogrodowych. Wciąż interesował się wszystkiem, nawet tem, gdy wspomniałem, że, idąc, spotkałem na łączce pod Krakowem pastuszkę, która z książką w ręce krów pilnowała. Żegnając, pytał się:

— Kiedy się zobaczymy?

Gdy d. 24 przyszedłem, chory drze-

mał. Rozmawiałem półgłosem z p. Włodzimierzem. Wreszcie chory budzi się i pyta:

— Kto tu jest? A... to pan Offmański, a to... Włodzio, syn mego ojca...

Zaraz się jednak oryentuje i dodaje:

— Niech się pan nie dziwi, ja bym sam się już nie poznał. Ach!—jęknął—niema już dążyć do czego, żeby mnie kto wyzwolił...

Widocznie cierpiał.

Pierwsza to była skarga na cierpienie i pierwsze zwątpienie w wyzdrowienie, jakie wyszło z ust jego.

Dnia 26 lipca przyniosłem do podpisu akt fundacyjny szkoły polskiej w Białej, wydrukowany na pergaminie, w dwóch kolumnach, po polsku i po łacinie. Raz jeszcze przeczytałem:

„Za papiestwa Ojca św. Leona XIII— za panowania w Monarchii austro-węgierskiej cesarza i króla Franciszka Józefa I — za namiestnictwa w królestwie Galicyi i Lodomeryi wraz z W. Księstwem Krakowskiem księcia Eustachego Sanguszki — za marszałkowstwa Stanisława hr. Badeniego—gdy w Kra-

kowie stolicę biskupią zajmował ks. Jan z Kozielska Puzyna, Towarzystwo „Szkoły ludowej,” pod prezydencyą Adama Asnyka, staraniem swojem, a ofiarnością całego społeczeństwa polskiego, założyło szkołę ludową w mieście Białej, według planów architekta prof. Sławomira Odrzywolskiego i dnia 27 lipca 1897 r. położyło pod tę szkołę kamień węgielny, poświęcony przez wielebnego księdza Jana Templégo, dziekana bialskiego, proboszcza w Hałcnowie.

„My niżej podpisani prawdziwość tego założenia stwierdzamy. Biała, dnia 27 lipca 1897 r.”

Poczem poeta nałożył po raz ostatni binokle, dźwignął się, wziął pióro i z namaszczeniem podpisał naprzód pod stroną łacińską, a następnie polską „Adam Asnyk.” Uczynił to z wielkim wysiłkiem, litery były ogromne, niezgrabne, ręka się trzęsła. Rozwinięty pergamin, który spoczywał na kolanach chorego, z dwóch stron przytrzymywałem spólnie z p. Włodzimierzem.

Po podpisaniu chory zupełnie poważ-

nie pytał się: „czy w podpisie niema błędu?" Było to ostatnie ujęcie pióra przez poetę, był to ostatni podpis.

— Panie Offmański, czy nie mam jeszcze czego do podpisania?

Odpowiedziałem, że nie. Rozpoczęliśmy więc rozmowę we trójkę o tem, co może stać się w przyszłości z dokumentem zamurowanym, że może wypadkami chwili za setki lat gmach zburzony zostanie, pergamin znajdą, akt czytać, a czyn sądzić będą.

Asnyk brał żywy udział w rozmowie. Podziwiać trzeba było, z jaką jasnością wypowiadał swe myśli, jak wiele w tem było zapału, jaka wiara w trwałość i wartość naszej cywilizacyi rodzimej; ani cienia pesymizmu... Ożywiona dysputa o zmroku, podczas szarej godziny, trwała dość długo. Umysł chorego pracował wzorowo. Aparat nerwowy, pobudzany wymianą zdań i pewną różnicą poglądów, działał z podwójną energią. Zupełnie logicznie i przekonywająco wysnuwał argumenty, wiązał je w zdania i wyprowadzał wnioski. Zwyciężał wszelkie pesymistyczne

poglądy, wszystkie systematy Nitschego, które napotkał w rozmowie. A z jakim mówił zapałem, z jakim ogniem i werwą...

Rozmowa go podniecała i ożywiała, ale jednocześnie nużyła.

Siła ducha i żywotność umysłu wstrzymywały od zagłady gasnące ciało. Wreszcie, na zakończenie naszej dysputy, rzekł: „Tak, bracie!" i wyciągnął ku mnie rękę.

Za chwilę usnął.

Wieczorem zaszedłem raz jeszcze. Przeczytałem z „N. Reformy" artykuł, omawiający jutrzejszą uroczystość położenia kamienia węgielnego pod szkołę w Białej, w którym autor zarzuca pewnej części społeczeństwa, iż nie popiera tak szlachetnego celu, ponieważ inicyatywa wyszła od ludzi, zaliczających się pod względem politycznym do innego stronnictwa. Poeta słuchał uważnie, wreszcie rzekł:

— Za ostro napisany, powinniśmy stać ponad stronnictwami.

Przemawiał jako wódz Towarzystwa „Szkoły ludowej," mający na celu jedynie dobro i oświatę ludu naszego.

Szedł jawnie i szczerze, ale nie chciał, żeby pod sztandarem oświaty kryła się niechęć stronnicza lub barwa partyjna. Gdy wspomniałem, że to tylko artykuł wstępny, nie zaś komunikat zarządu, dodał:

— No, to co innego, odpowiedzialność za artykuł na nas nie spadnie.

Zajęła go później wiadomość o zapisie Wiśniewskiego na rzecz szkoły bialskiej, w kwocie 2,000 złr. i o przygotowawczych czynnościach, poprzedzających uroczystość w Białej, a prowadzonych przez zarząd główny i komitet miejscowy. Nieporozumienia i drażliwości osobiste dały mu sposobność do dobitnego wyrażenia, jak bolała go zawsze prywata i małostkowość, wobec interesów ogólnego znaczenia.

Dnia 27 lipca. Powróciwszy wieczorem z Białej, dokąd jeździłem z urzędu, jako sekretarz i delegat zarządu, zaszedłem do poety. Rozpytywał się o przebieg uroczystości i, gdy opowiedziałem, zauważył:

— No, to się bardzo ładnie odbyło...

Potem dziękował za depeszę, którą

otrzymał od zebranych w Białej z wyrazami hołdu i życzeniami zdrowia. Wreszcie słuchał treści telegramów z okazyi uroczystości, a gdy dodałem, że mamy i wiersz, nadesłany z Kent, rzekł żartobliwie:

— No, to jeszcze gorzej!

Przy pożegnaniu zatrzymał mnie, mówiąc:

— Chciałem panu zadać jeszcze kilka pytań...

— Słucham.

— Wiele może kosztować w Krakowie roczne utrzymanie inteligentnego małżeństwa bezdzietnego?

Po odpowiedzi, zaczął obliczać:

— Będzie miał miesięcznie... bo ja mu dodam, to wystarczy na teatr, koncert, książkę i dziennik.

Naturalnie, potwierdziłem, bo wyliczył sumę przeszło dwa razy większą od tej, którą podałem.

Ma się rozumieć chory miał na myśli syna ukochanego.

Na pięć dni przed śmiercią troszczył się jeszcze, czy syn ten nie zazna niedostatku, czy nie będzie zmuszony wal-

czyć z potrzebami życia rodzinnego. Tego dnia chory prosił pana Włodzimierza o kupno wózka, aby mógł w siedzącej postawie wygodnie spoczywać.

Dnia 29 lipca. Mamy gościa z Warszawy, nie mogę więc u Asnyka przebywać tak długo, jakbym pragnął. Prosił, żeby mu załatwić pewien sprawunek, ale dodał:

— Będę miał, jeżeli go sami kupicie, bo służba...

Dnia 30 lipca. Wieczorem wchodzę do mieszkania chorego, pytam: co słychać? Po pierwszych słowach powitania rzekł do mnie i do syna:

— Mam rogate żądanie: podnieście mnie, porozmawiamy.

Gdy go dźwignęliśmy wyżej, dodał:

— Czekam na mądre słowo...

Rozmowa jednak jakoś się nie kleiła. Po chwili więc odzywam się:

— Chętniebym został dłużej, dzisiaj jednak muszę być wcześniej w domu. (Zostawiłem w cukierni teścia, czekającego na mnie).

Nie oceniłem przykrości, jaką choremu sprawię, dając do zrozumienia, że

nie mogę zadośćuczynić „rogatym" jego życzeniom—odbiło się to w cierpkich słowach pożegnania:

— Idź spać, panie Offmański, a jeżeli kogo spotkasz, przyślij mi go. Dobranoc...

Złożą się czasem okoliczności w ten sposób, że jeżeli z jednej strony czyni się zadość danemu słowu, grzeczności i gościnności, to z drugiej staje się człowiek filistrem! Mnie właśnie to się przytrafiło. Choremu wyrządziłem przykrość chwilową, dla mnie pozostanie ona stałą, ilekroć wspomnę sobie tę chwilę.

Dnia 31 lipca. Czy Asnyk zapomniał, czy może wyrozumiał, dość, że cierpkości wczorajszej w nim nie znalazłem.

Bardzo osłabiony, często zasypia, oddech ciężki—mało mówi, wszystko jednak rozumie, bo ze zdań wypowiadanych widać, iż umysł pracuje normalnie. Gra fizyognomii i oczu zdradza zainteresowanie się, ręce, spoczywające na kołdrze, często przebierają palcami. Odru-

chy tego rodzaju były właściwością nerwowego usposobienia poety.

Rozmowa toczyła się koło najważniejszego wypadku dnia: rozmawialiśmy o wiecu, zwołanym w Krakowie, na którym przemawiał p. Zygmunt Marek. Omawialiśmy cele zgromadzenia tego, sposoby postępowania i gdy wspomniałem o samym prelegencie, znanym mi z ławy uniwersyteckiej, jako o postaci osobiście bardzo szlachetnej i bezinteresownie służącej idei, Asnyk, który się nie odzywał, ale śledził myślą rozmowę, dodał:

— Poznałem go u Doboszyńskiego, taki sympatyczny szatyn.

W określeniu nie mylił się: pan Marek, jako prawnik, pracował w kancelaryi adwokackiej dr. Adama Doboszyńskiego.

W trakcie tej rozmowy syn głośno syknął; chory, zelektryzowany, z trudnością podnosi zmęczone powieki i energicznie pyta się:

— Co ci jest, Włodziu?

Dowiedziawszy się, że ukąsiła go w rękę duża mucha, z całą trzeźwo-

ścią radzi natrzeć silnie ukąszone miejsce amoniakiem, „bo czasem takie muchy bywają zjadliwe.” Później zwraca się jeszcze z pytaniem:

— Czy niema amoniaku?

Uspokoił się, gdy p. Włodzimierz silnie natarł ukąszone miejsce wodą kolońską.

Chory, rzecby można, przechodził już na tamten świat, leżał jakby omdlały, zmysły zamierały, a jednak na jęk syna budzi się i śpieszy z radą zdrową... Do bogatej puścizny po sobie dorzuca jeszcze jeden klejnot dla najukochańszej istoty, którą zostawiał na ziemi, świadectwo pamięci i miłości ojcowskiej.

Czy to ostatnie? Wątpię... ale ostatnie, jakie słyszałem z ust jego.

Tego dnia sporo osób odwiedziło chorego. Wieczorem przyszedł p. Godziemba Wysocki. Poeta przyjął go, ale do rozmowy się nie mieszał, widocznie był bardzo znużony, bo przerwał, mówiąc:

— Dosyć tego rautu — i gościa pożegnał.

Niezadługo i ja wyszedłem, chory podał mi rękę, mówiąc: „Dobranoc,” czy też „Do widzenia” — dobrze już nie pamiętam.

Nie przypuszczałem, że to ostatnie rozstanie się z Asnykiem.

Na drugi dzień, w niedzielę, padał deszcz ulewny, drogi rozmiękły, nie wychodziłem z domu wcale.

W poniedziałek, dnia 2 sierpnia 1897 roku, rozeszła się wieść po mieście, że poeta nie żyje. Zgasł o godzinie 8 minut 15 zrana, w dzień Matki Boskiej Anielskiej.

*
* *

I znowu, jak to było d. 19 czerwca, z bijącem sercem stanąłem przed domkiem przy ulicy Łobzowskiej. Napozór nic się nie zmieniło. Wszedłem do pokoju... Zwłoki leżały na łóżku, tą samą przykryte kołdrą, twarz tylko przysłoniona, żeby muchy nie siadały. Odsłoniłem. Ten sam wyraz pogody i spokoju, oczy na pół przymknięte straciły swój blask, skóra na twarzy silnie przy-

żółkła, stała się niemal woskową. Przed czterema godzinami dopiero dusza opuściła tę lepiankę...

W pokoju było cicho; łóżko stało na środku, odsunięto stoliczek i wszystko, co było obok. Stałem chwil kilka: zdawało mi się, że te powieki drgną jeszcze, że dłoń się poruszy, że usłyszę oddech. Srebrzyste pasma włosów okalały martwe czoło... Westchnąłem, przeżegnałem się i cicho, ciszej, niż zazwyczaj, wysunąłem się z pokoju.

Zastałem tylko służbę, od niej więc zaczerpnąłem szczegółów o ostatnich chwilach poety.

W niedzielę, dnia 1 sierpnia, był u Asnyka, wracając z Cieszyna z wiecu, p. Adam, wraz z p. Żulińskim *), rozmawiali o wiecu, dodawali choremu otuchy, mówiąc, że najlepszy byłby wyjazd w góry, że tam przyjdzie do sił. Asnyk słuchał i myśl ta bardzo mu się podobała.

---

*) Dr. Ernest Adam — literat; p. Żuliński — teść jego, zamieszkały w Krakowie.

W nocy był już bardzo niespokojny, miejsca sobie nie mógł znaleźć, przenoszono go kilkakrotnie z łóżka na łóżko. Mówił dużo, coś tak, jakby wierszami. Chciał wstawać, ubierać się, to znowu majaczył: „Dajcie mi deskę, pojadę w góry...” Pytał się: „Czy mam na sobie medalik?” to znów wołał p. Włodzimierza, polecając mu wypłacić wszystko, co się komu należy.

Miał świadomość, że umiera.

Do służącego p. Kotarskiego, Marcina, który podnosił chorego i czuwał nad nim, rzekł rano:

— Dziękuję ci, mój Marcinie.

Na chwilę przed śmiercią przyszedł p. Kotarski. Marcin powiedział głośno:

— Pan dyrektor przyszedł.

Chory usłyszał.

— To dobrze, dziękuję ci, ty mój najlepszy przyjacielu, dziękuję ci za wszystko.

To miały być ostatnie słowa poety. W piersiach mu grało, oddychał coraz wolniej i ciężej; nareszcie, cicho, spokojnie, wydał ostatnie tchnienie.

Relacyę tę miałem od służącej, która była w pokoju obecną przy umierającym.

Medalik, o którym wspominał, miał na sobie, widziałem go podczas choroby; towarzyszył mu przez całe życie, poszedł z nim zdaje się do grobu.

Prawdopodobnie to ten sam medalik, o którym śpiewał w wierszu, zatytułowanym „Pod stopy krzyża."

. . . .

Na mojej piersi spoczywał schowany
Maleńki krzyżyk ze słoniowej kości,
Świadek młodzieńczej wiary nieskalanej,
Dar macierzyńskiej najczystszej miłości,
Co przetrwał wszystkie burze i szaleństwa
Znakiem cichego, Boskiego męczeństwa.

Wiersz „Pod stopy krzyża" jest publiczną spowiedzią poety i jego wyznaniem wiary, przeczuciem jakby ostatnich chwil.

Dużo cierpiałem... lecz koniec się zbliża.
Z uspokojeniem po przebytej męce,
Pójdę, o Chryste, do stóp Twego Krzyża
Wyciągnąć znowu z utęsknieniem ręce

I witać ciszę zachodzącaj zorzy,
Która mnie w prochu u stóp Twych położy!

. . . .

. . . .

I oto idę z mem sercem schorzałem,
I pewny jestem Twego zmiłowania,
Bom wiele błądził, lecz wiele kochałem
I drogi życia przeszedłem cierniste...
Więc Ty mnie teraz nie odepchniesz, Chryste!

Spowiadał się i komunikował jeszcze w czasie trwania tyfusu brzusznego, przyjmując pociechy religijne z rąk ks. kanonika Centa, b. dziekana w Sulejowie, swojego przyjaciela, a podówczas przełożonego kościoła księży emerytów w Krakowie.

*
* *

W tym samym pokoju, w którym Asnyk zmarł, ciało jego zostało zabalsamowane przez profesora anatomii patologicznej Uniwersytetu Jagiellońskiego, d-ra Tadeusza Browicza, poczem wystawiono je w saloniku, po przeciwnej stronie sieni.

Pochowany został na Skałce, w grobach zasłużonych, wbrew swemu życze-

niu, miał bowiem mówić po pogrzebie Teofila Lenartowicza, że nie chciałby tam leżeć, bo ciemno, wilgotno bardzo, i nikt tam nie zachodzi... *)

Domek poety, oznaczony liczbą 7 przy ulicy Łobzowskiej w Krakowie, stanowił oddawna jego własność. Jeszcze z rodzicami przyjechawszy ze Lwowa, zamieszkał w nim 1870 roku; tam umarła matka poety 1871 r., w tym samym domu on życia dokonał. Parterowy, murowany, o sześciu oknach frontu, posiadał jedno wejście wprost z ulicy, przy którem wisiał drut z drewnianą rękojeścią od dzwonka. Wchodziło się do sieni z podłogą ceglaną. Po prawej ręce drzwi prowadziły do dwóch pokojów frontowych, kwadratowych, które wraz z węższym a długim pokojem od dziedzińca stanowiły połowę domku. Po lewej ręce takiż sam rozkład, tylko, zamiast podłużnego pokoju, była kuchnia, sama w sobie, nie komunikująca się z po-

*) Wspominał mi o tem ś. p. Antoni Kleczkowski, dziennikarz. Obecnie przez wybicie okna oświetlono kryptę.

kojami. Z podłużnego pokoju wyjście prowadziło do sieni, a stąd na podwórko, będące raczej zapuszczonym ogrodem, w którym swobodnie, obok okazałego orzecha włoskiego, rosły inne drzewa, krzaki, chwasty i trawy najróżnorodniejsze. Dziedziniec, klinowato ścięty Rudawą, dążącą ku Wiśle, przedstawiał oryginalny widok, mając za ogrodzenie brzeg rzeczki, po prawej ręce młyn, po lewej parkan sąsiedniego ogrodu, a od frontu domek.

Skromne urządzenie wewnętrzne, podłogi wszędzie białe, stara obsługa i bezpretensyonalny wygląd zewnętrzny całej posesyi dziwnie harmonizowały z lirycznym nastrojem poety.

Do dworku tego ś. p. Adam nadzwyczaj był przywiązany, a chociaż z powodu blizkiego sąsiedztwa z Rudawą mieszkanie było wilgotne, stale w niem przemieszkiwał.

Za życia jego zgłaszali się amatorzy, chcący nabyć plac i domek, aby go zastąpić nowoczesną kamienicą, stosownie do wymagań rozrastającej się dzielnicy nowego Krakowa. Po śmierci poety w lat

kilka, zamiary te uskutecznione zostały, dlatego też przez dłuższą chwilę zatrzymałem uwagę czytelnika na domku, nad którym ciążył wyrok zagłady *).

Licząc się z tą ostatecznością, w pierwszych tygodniach po śmierci Asnyka, na posiedzeniach rady miejskiej, Zarządu głównego Towarzystwa Szkoły ludowej i Zarządu Koła pań w Krakowie, zastanawiano się nad trwałem uczczeniem pamięci poety i powzięto myśl, że oprócz sarkofagu w grobach zasłużonych na Skałce, należy wmurować tablicę z popiersiem jego na domu, który wystawiony będzie na miejscu tego dworku.

Pogrzeb poety odbył się kosztem miasta, przy spółudziale tysięcy publiczności. Przemawiali literaci, poeci, imieniem zaś Towarzystwa Szkoły ludowej żegnał zmarłego dr. Ernest Bandrowski, wice-prezes Towarzystwa. Reprezentacye kraju i miasta, instytucye naukowe i różne korporacye, cechy i szkoły, deputacye różnych instytucyj i licznych kół Towarzystwa Szkoły ludowej, wszyst-

*) Posesyę nabył niejaki Bober, dotychczas jednak domek poety stoi.

kie z wieńcami, towarzyszyły pochodowi, poprzedzanemu przez straż ogniową i orkiestrę krakowską „Harmonię,” przybraną w stroje malownicze. Ciało spoczęło na specyalnie zbudowanym i przybranym kwiatami karawanie. Eksportował ks. kanonik Cent w otoczeniu licznego duchowieństwa.

Od czasu sprowadzenia zwłok Mickiewicza tak wspaniały pogrzeb mieli w Krakowie tylko Matejko i Lenartowicz.

Sarkofag wystawiła rada miasta Krakowa, tablica jeszcze ufundowaną nie została. Należałoby o tem pamiętać!

Przygotowania do pogrzebu Asnyka, niezwykłość pochowania zwłok w sklepach kościoła na Skałce, tłumny zjazd deputacyj—wszystko to lotem błyskawicy rozniosło się po Krakowie i okolicy, śród ludności nieczytającej gazet, i wzbudzało różne komentarze. Słyszałem w poblizkiej gminie Nowej Wsi Narodowej, jak kobiety opowiadały jedna drugiej:

— A no chowają jakiegoś mundralę, co leżał na milionach...

Smutnie to odbijało od rzeczywistości, od serdecznego uczucia, jakie Asnyk

żywił dla ludu, od dojrzałości umysłowej tego ludu, której tak pragnął i dla której pracował.

Miejmy nadzieję, że dobrą ręką siewcy rzucone ziarno oświaty wyda plon, i młode pokolenie—chociaż z nazwiska—znać będzie Asnyka.

Gdy mowa o człowieku tej miary, co Asnyk, żaden szczegół nie jest tak drobnym, aby go można pominąć milczeniem. Wspomnienia moje nie wyczerpują ostatnich chwil poety, są tylko drobnym przyczynkiem, odzwierciadlającym wrażenia, które wyniosłem, i te momenty, których byłem świadkiem, odwiedzając go podczas choroby.

Teraz czas, żeby ci wszyscy, co stale bywali u poety i z którymi wiązała zmarłego dawna zażyłość, a przedewszystkiem syn, którego nieboszczyk tak kochał, z którym koło dziesięciu ostatnich lat przeżył *), skreślili jego myśli, poglądy, opinie. To się należy i od tych przyjaciół, zdala od poety żyjących,

*) Gdy matka odumarła go w niemowlęctwie, wychowywał się u dziadków, rodziców matki, w Poznańskiem, w domu doktorostwa Kaczorowskich.

z którymi utrzymywał serdeczne stosunki listowne, którym kreślił wrażenia z podróży i przed którymi otwierał swą duszę. Tylko w ten sposób przekażemy pamięci potomnych prawdziwą postać człowieka.

III.

We wspomnieniach z ostatnich chwil poety, jeżeli rozbierać je będziemy z punktu literackiego, uderza chaotyczność faktów i rozmów, które świadomie zostawiłem, aby nosiły na sobie cechę chwili i znamię życia codziennego.

Nawet podczas choroby występowała wybitnie delikatność i subtelność Asnyka: zanim wyjawił swoje życzenie, mające na celu złagodzenie cierpień, upewnił się, czy żądanie to nie będzie dla kogoś przykrością. Egoistą ani sybarytą nie był. Miękki i uczynny w obcowaniu z ludźmi, twardy i stały w zasadach i dążeniach, zmierzających do dobra ogólnego, wysoko cenił honor i godność osobistą. Lekceważenie żądań, lekceważenie zdania, które umoty-

wowywał, silnie go obchodziło; bo, aczkolwiek nie piął się na zaszczytne stanowiska i urzędy, jednak malowanym posłem, radcą, prezesem lub redaktorem być nie umiał.

Prawda, że jako poseł i radca miejski odzywał się rzadko, głównie w sprawach szkolnictwa, ale mowy jego nacechowane były znajomością rzeczy, mnóstwem faktów i głębokością sądu. To, co mówił, mówił z przejęciem i odczuciem, znać, że duszę swoją kładł w słowa; pustych a ładnie brzmiących frazesów unikał—dawał treść uduchowioną. To też każde takie przemówienie na razie go podniecało, ale potem występowało wycieńczenie.

W sejmie raz zemdlał, a po upływie terminu nie kandydował już na nowe trzechlecie, bo go życie parlamentarne męczyło. Jako radca miejski stale bywał na posiedzeniach, również jako prezes Towarzystwa Szkoły ludowej nigdy nie opuścił posiedzenia, nigdy się nawet nie spóźnił. Znamiennym rysem do charakterystyki usposobienia poety było to, że przez kilkoletni przeciąg czasu,

w którym zasiadał w krześle prezydyalnem, chociaż bardzo często zachodziła potrzeba, ani razu dzwonkiem nie przywołał zebranych do porządku dziennego. Wiedzieliśmy, że prezes boi się dzwonka, że od niego stroni.

Jego subtelna, harmonijna istota nie mogła pojąć, jak można skutecznie głosem spiżu poskromić zgiełk i chaos zgromadzenia.

Zamiast uderzyć w dzwonek, marszczył nerwowo czoło, brwi krzaczaste podnosił do góry i swojem najwymowniejszem, głębokiem spojrzeniem prosił o spokój. Cel był osiągnięty: pod tem spojrzeniem i pod powagą osoby, cichły namiętności, uspokajało się wrzenie stron, zdania „pro" i „contra" toczyły się zwykłem łożyskiem wymiany myśli, bez żółci i namiętności, często unoszącej mówców.

Kierunek Asnyka w zarządzie głównym Towarzystwa Szkoły ludowej zaznaczył się uspokojeniem żywiołów i odłączeniem polityki bieżącej od działalności p r o p u b l i c o b o n o. Miał nieo-

cenioną zasadę: „Powinniśmy stać ponad walkami partyjnemi.”

Swoją powagą i wpływem zjednał Towarzystwu Szkoły ludowej wielu członków założycieli i dożywotnich. Pod sztandar, który Asnyk ujął w swe dłonie, zapisywano się chętnie. Na jego słowa zachęty tworzyły się liczne koła prowincyonalne. Dając Towarzystwu rozgłośne swe imię, opromienione prawością i sławą, sprawił, że stosunkowo bardzo łatwo uzyskało Towarzystwo na szkołę polską w Białej znaczny fundusz, powstały ze składek, rozpoczętych w Galicyi jeszcze w 1872 r., a używanych na cele wydawnicze.

Stosunki Asnyka sięgały nawet do Ameryki. Stamtąd, ze znaczną wkładką przystąpił do Towarzystwa znany filantrop, p. Erazm Jerzmanowski, dzisiaj zamieszkały w Prokocimiu koło Podgórza. Jemu też wdzięczne Towarzystwo przyznało pierwszy dyplom członka honorowego.

W 1893 r., poeta, czując się bardziej osłabionym, a zasilony fundaszami z wy-

danego nowego tomu swoich poezyj, postanowił wyjechać na wyspę Ceylon.

Listy z podróży z opisem wrażeń posiada p. Stanisław Krzemiński.

W styczniu 1894 roku wyjechał na tę wyspę, w maju był już z powrotem; wzmocnił się, wypogodził znacznie *).

Ceylon, Colombo, Galle Face Hotel,
d. 25 lutego 1894 r.

„Zapowiedziałem Ci w moim liście z Tryestu, że napiszę z Adenu lub Bombaju, lecz obietnicę realizuję dopiero w Colombo, gdzie mi wygodniej i swobodniej pisać, a przytem zebrało się cokolwiek więcej materyału.

Wypłynąłem z Tryestu d. 3-go w południe na parowcu „Imperatrix.” Piękniejszego czasu i lepszego morza w ciągu całej podróży niepodobna sobie wyobrazić...” (Opuszczam wiele ustępów).

„Przeprawa przez ocean Indyjski, a raczej morze Arabskie do Bombaju, ci-

*) Jeden z tych listów, pisany z drogi do St. Krzemińskiego, drukowany był w «Kuryerze Warszawskim» (Nr. 99 z 1894 r.).

cha i urocza w swojej jednostajności. O takiej grze barw po zachodzie słońca w Europie ani wyobrażenia nie mamy. Te delikatne tony różowe, lila i różowo-lila na złotem tle, tuż obok bladego turkusu błękitów, nie dadzą się opisać!... A potem co za noce, jakim blaskiem płoną gwiazdy nowych i niewidzianych dotychczas konstelacyj! Z Południowym Krzyżem zapoznałem się już w połowie morza Czerwonego. Wschód słońca mniej imponujący, jakkolwiek zawsze przed wejściem gwiazdy dnia wychodziłem na pokład patrzeć, jak wynurza się z toni. Zachód słońca i noc miesięczna podczas pełni—to na morzu dwie rzeczy, któremi się można upajać, jak haszyszem.

„Pięć dni minęło, jak pięć minut... Najcudniejszy był jednak ostatni dzień, gdyśmy minęli Cap Comorin i wpłynęli na wody Ceylonu. Tu dopiero kolor morza nabrał całej świetności i przejrzystości szafiru, tu dopiero każda perełka piany stawała się iskierką, a stada ryb latających rozlatywały się i roz-

pryskiwały nad powierzchnią toni, jak rakiety. Delfiny wyskakiwały z wody i w powietrzu przewracały koziołki. Żółwie na powierzchni przepływały z majestatyczną powagą, mijając parowiec. Słowem, na wszystkie strony zawsze było coś nowego do widzenia. Doprawdy, zacząłem żałować, że się już podróż kończy..."

Przytaczam jeszcze ustęp o samem Colombo, które poeta nazywa ziemskim Edenem.

„Dotychczas nie jestem otrzeźwiony, chociaż już całą noc przespałem.

Wystaw sobie —przed werendą mego pokoju bukiet 70-ciu palm kokosowych, a tuż za niemi o dziesięć kroków morze, z szumem toczące swe fale, srebrną pianą pokryte. W dodatku ziemia czerwona, jakby cynamonem posypana. W powietrzu zapach ambry. Maleńkie zwinne wiewióreczki, drapiące się po palmach; dalej droga nad wybrzeżem; w dali miasto, ukryte w zieleni, a dokoła stawy, zarosłe białemi lotusami. Słowem, wszystko zdaje mi się fantasmagoryą..."

Na tem kończą się w liście najpiękniejsze ustępy wrażeń poety.

Przed wyjazdem, późnym wieczorem, po skończonem posiedzeniu, poeta żegnał się w wesołym nastroju, a gdy życzyliśmy mu szczęśliwego przyjazdu, odrzekł, że w każdym razie wróci, choćby... w pace. Wrócił, orzeźwiony i nadspodziewanie dobrze wyglądający.

W ostatnich latach często wyjeżdżał na południe. Po jednej z takich wycieczek nie doliczył się nas wszystkich— sekretarz Towarzystwa, dr. Lesław Boroński, już nie żył.

Lato 1896 roku spędził Asnyk w Tatrach, przebywał nad jeziorem Szczyrbskiem (Csorba). W zimie niezwykle osłabł; w listach, pisanych do kilkakrotnie wzmiankowanego przyjaciela, przewidywał śmierć blizką, a przecież był to rok tryumfów i laurów, któremi społeczeństwo go uwieńczyło.

Dnia 14 grudnia 1896 r. w teatrze miejskim w Krakowie odbyło się przedstawienie uroczyste ku czci Adama Asnyka. Teatr był przepełniony. Wchodzącego do sali publiczność witała,

stojąc, oklaskami. Przedstawienie rozpoczęła uwertura „Halki" Moniuszki, poczem nastąpiła kantata Żeleńskiego, odśpiewana przez chór „Lutni" pod batutą kompozytora. Pani Gutman-Kwiecińska odśpiewała pieśń Żeleńskiego do słów Asnyka „Zaczarowana królewna" i „Gdy ostatnia róża zwiędła," oraz pieśń Zarzyckiego do słów: „Różne łzy" i „Między nami nic nie było." Kotarbiński deklamował wiersz jubilata. Przedstawienie zakończyła „Komedya konkursowa."

Po przedstawieniu odbyła się wieczerza, na którą przybyło przeszło sto osób. Delegaci ze Lwowa przywieźli dyplomy na członka honorowego Towarzystwa literackiego i dziennikarzy. Wręczono jubilatowi adres wspaniale oprawny, opatrzony tysiącami podpisów, przemawiało kilku młodszych poetów, co do łez wzruszyło Asnyka. Toast, głęboki treścią a piękny formą, wzniósł prof. Balasits, rektor uniwersytetu lwowskiego i prezes Koła męskiego Towarzystwa Szkoły ludowej we Lwowie.

W roku następnym, na wiosnę 1897 r., Asnyk, po uroczystościach jubileuszowych, wyjechał po ratunek do Włoch — ratunek ten był zgubą. W drodze powrotnej, prawdopodobnie w Neapolu, nabawił się malaryi, a może i tyfusu brzusznego, na który zapadł w Krakowie. Wychodził jednak na miasto, chciał być czynnym i punktualnym, jak przedtem, brał nawet udział w licznych posiedzeniach.

Na dwa dni przed położeniem się do łóżka, z którego już nie wstał, spotkałem go na plantach, rozmawiał o sprawach Towarzystwa Szkoły ludowej, dał mi nawet notatkę, zawczasu przygotowaną; ale na twarzy jego malowało się wielkie zmęczenie, tak, że gdy mówił, to oczy przymykał. Choroba wżerała się w organizm, walczył z nią, nie chciał uledz, pasował się. Ta walka uwidoczniała się zmęczeniem, które zapanowało i które go zmogło. Był to początek końca!

Kierownikiem „Nowej Reformy" został Asnyk po swoim przyjacielu, Tadeuszu Romanowiczu, który obrany zo-

stał posłem. Nie była to siła w znaczeniu dziennikarskiem, bo temperamentu dziennikarskiego Asnyk nie posiadał, ale dawał głośne, zasłużone imię, znakomitą firmę. W dalszym ciągu pismo prowadził w duchu demokratyczno-narodowym, osobiście rzadko zabierał głos na łamach dziennika. Zaledwie kilka razy do roku pomieścił jaki artykuł lub wiersz nowy, nie pisywał nawet sprawozdań teatralnych, chociaż należał do komisyi teatralnej jako rzeczoznawca. Przed wyjazdem na Ceylon redaktorstwo złożył w ręce p. Michała Konopińskiego, do redakcyi stale jednak zachodził, czytywał tam dzienniki, dawał rady, służył uwagami.

Przedostatnią misyą publiczną Asnyka było w 1893 r. sprowadzenie zwłok Teofila Lenartowicza do kraju. Delegowany jako prezes komitetu, pojechał do Florencyi, zwłoki odebrał, sprowadził do Krakowa i przed złożeniem do gro bów zasłużonych na Skałce, natchnionemi słowy pożegnał lirnika mazowieckiego.

Ostatnie publiczne wystąpienie, do

którego powołany został jako najgodniejszy, to prolog, napisany na uroczystość otwarcia nowego teatru w Krakowie (1893 r.), oddeklamowany przez Kotarbińskiego. Muzykalność i piękność wiersza, oraz bogactwo treści ogromne uczyniły wrażenie.

Świątynia sztuki olśniewała swoją wspaniałością. Kurtyna Siemiradzkiego zastanawiała siłą kompozycyi, przykuwała wzrok świetnością kolorytu. Matejko z rodziną w loży pierwszego piętra swoją obecnością uświetnił uroczystość. Pełne treści i melodyjne słowa Asnyka, wypowiedziane z uczuciem przez Kotarbińskiego, do łez wzruszyły obecnych. Była to jedna z tych chwil, na której uświetnienie złożyły się: praca, geniusz i obecność najwybitniejszych jednostek w narodzie.

Niemal do ostatnich chwil życia Asnyk pozostawał w ścisłych stosunkach zażyłości z Sewerem (ś. p. Ignacym Maciejowskim) i jego żoną. Przyjaźń ta oparta była na usposobieniu artystycznem i na szacunku wzajemnym. Wspólne mieli

wspomnienia przeszłości, wspólne ideały, jednakowo lud miłowali.

Sewer jednę ze swoich powieści p. t. „Zyzma,” dedykując Asnykowi, pisał:

„I lud nasz ma swoje namiętności, nadzieje i serdeczne udręczenia. I on umie nienawidzieć, cierpieć dla swych ideałów i poświęcać się. Poznajmy go dobrze, abyśmy szczerze pokochać mogli. Ty go przeczuwasz takim, jakim jest, śpiewałeś nieraz na nutę jego pieśni, przyjmij więc tę pracę przez sympatyę dla prostaczków, których dzieje kreślę. Autor.”

W ostatnich czasach, kiedy Asnyk był zdrów jeszcze, stosunek ten dla błahych powodów ostygł, nie nadwyrężając w niczem zobopólnego szacunku... Państwo Maciejowscy mieszkali na przyległej ulicy Batorego, o kilka domów od dworku poety. Asnyk bywał u nich codziennym, poobiednim gościem, zazwyczaj o godzinie piątej, na rautach artystyczno-literackich.

Wieczory bardzo często spędzał Asnyk w teatrze, w loży pierwszego piętra po prawej ręce, w której zasiadali inni człon-

kowie komisyi teatralnej: Koźmian i Karol Estreicher. Często jako gość zachodził do nich Sewer. Dwa obozy, arystokratyczno-konserwatywny i demokratyczny, grupujące się koło „Czasu” i „Nowej Reformy,” tam, na gruncie neutralnym, w świątyni sztuki, zachowywały stosunki towarzyskie. W miłości do sztuki i w pragnieniu jej świetności łączyli się, tworząc jedno kolegium.

Zresztą myliłby się, ktoby sądził, że Asnyk w przekonaniach swoich politycznych był fanatykiem, że z zawziętością sekciarską dążył do utrzymania form kosztem treści. Nie, pełen rozwagi i taktu, które z biegiem czasu w sobie wyrobił, nie wahał się hamować gorących objawów uczuć i występować z przestrogą nawet publicznie, jeżeli one nie dawały rękojmi trwałości i groziły rozdźwiękiem. Pamiętamy jego odezwanie się, w roku 1891, a zdaje się i 1895, w którem zaznacza, że młodość ma swoje prawa i trudno siłą pozbawiać jej zabawy, tej koniecznej rozrywki młodocianego wieku.

We wstępnym artykule „Nowej Re-

formy" z dnia 20 grudnia 1891 r. między innemi, pisał:

„Życie ma swoje prawa, z któremi liczyć się potrzeba. Sztuczne ich naruszenie szkodę tylko a nie pożytek przynieść może. W organizmie społecznym wszystkie funkcye żywotne tak są ściśle z sobą związane, że zawieszenie jednej, choćby z pozoru błahej, wprawia całość w stan nienormalny..."

Bał się tego, co z natury rzeczy jest najgorszem, bał się rozdwojenia w łonie własnego społeczeństwa.

Młodzież wiedziała, że w Asnyku posiada szczerego przyjaciela i nieraz zasięgała rad jego w sprawach ogólniejszego znaczenia, które bywały poruszane na komersach akademickich. Ceniono jego uwagi, poruczano opinii poezye konkursowe, nadsyłane do czytelni akademickiej na wieczorki Mickiewiczowskie. Poeta cieszył się, że młodzież do życia publicznego się garnie, że nie śpi, że nietylko sobą jest zajęta.

Dworek naszego poety najliczniej odwiedzany był latem w czasie przejazdu gości z Królestwa Polskiego. Ciągnęli

poeci, artyści, literaci, znajomi i przyjaciele, aby uścisnąć dłoń Asnyka, dowiedzieć się o jego zdrowiu, ofiarować mu egzemplarz swej pracy. Czasem dworek ten widywał bardzo rzadkich gości, jak np. Helenę Modrzejewską, dla której poeta nawet urządził u siebie przyjacielski, literacko-artystyczny raut podczas jej pobytu w Krakowie. Wszystkich serdecznie witał, jednych w domu, innych w redakcyi, siedząc w swoim głębokim, zielonym fotelu redaktorskim.

Druga, również gromadna pielgrzymka do dworku przy ulicy Łobzowskiej bywała w dzień św. Adama, w imieniny poety. Przyjmował wtedy gości w saloniku, założonym papierami. Na wydatnem miejscu wisiał tam portret nieboszczki żony Asnyka, z domu panny Kaczorowskiej, a w rogu pokoju stał jego własny; trochę kwiatów, papierów i starych sprzętów dopełniało umeblowania.

Częstym gościem u poety bywał ks. Cent, były dziekan z Sulejowa pod Piotrkowem, a w redakcyi odwiedzał

go kapucyn o. Wacław (Edward Nowakowski), zasłużony badacz i pisarz, b. bibliotekarz u Świdzińskich w Sulgostowie (zmarł w 1903 r.).

W tym samym, skromnym saloniku, obitym kirem, z którego usunięto wszystko i okna zasłoniono, wystawione były zwłoki poety po zabalsamowaniu, a gdy wieść szeroko się rozniosła po okolicy, że umarł człowiek, którego chować będą na Skałce, wielu ściągnęło do Krakowa, przypatrzeć się wspaniałemu pochodowi.

Jedni przyszli, aby uczcić poetę, drudzy oddawali hołd pamięci człowieka i pisarza, inni, aby napoić oczy wspaniałością pogrzebu.

To, co dobrego w moich piersiach tkwiło,
Co się wiązało z wspólnem życiem świata,
To—pozostanie pięknością lub siłą,
Chociaż znikoma już opadnie szata,
I w innych sercach żyć nanowo będzie,
Dotychczasowe rzuciwszy narzędzie.

Zresztą — niech wszystko niepamięć [pochłonie,
Co nosi doli osobistej piętna!

Niech się rozgrywa dalej w mojem łonie
Ta walka z losem smutna i namiętna...
Bo oto w świetle grobu tajemniczem
I ból... i rozkosz... zarówno są niczem!
(„Sam na sam").

Zostało dużo dobrego z tego, co tkwiło w piersiach poety i to pozostanie pięknością, siłą i pomnikiem jego.

